Słowa
ze skradzionych chwil



Florian Śmieja z żoną Zofią, córką Anią i wnukiem w domu w Mississaudze w Kanadzie, fot. arch. Z. i F. Śmiejów.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Był Pan przez wiele lat związany ze stolicą Wielkiej Brytanii i mocno osadzony w powojennym środowisku

literackim tego miasta. Wielokrotnie pisał Pan o barwnej atmosferze artystycznej powojennego Londynu. Gdzie należałoby szukać przyczyny, tej ogromnej fali twórczości i wybitnych talentów w tym czasie?

Florian Śmieja:

Po zakończeniu działań wojennych, byli żołnierze mieli bardzo dużo zapału i energii, stąd ten dynamiczny rozwój idealizmu. Londyńska emigracja była pokaźna, ok. 100 tys. Polaków i wśród niej było bardzo wielu utalentowanych ludzi, wychowanych przez drugą Rzeczpospolitą, dla których często nie było powrotu do kraju. Co któryś młody człowiek w plecaku nosił pióro lub pędzel i jak nie pisał, to malował. Do Anglików trudno było przylgnąć, bo Anglia była wówczas krajem zamkniętym, z własną tradycją, robiącym trudności w asymilacji. Stąd duża potrzeba życia we własnej społeczności, spotykania się, działania i to zwykle honorowo. Wychodziły sukcesywnie czasopisma, przy niewielkich nakładach finansowych. Profesorowie wykładali za darmo i płacili za przejazd na wykłady z własnej kieszeni. Dlatego, mimo braku pieniędzy i możliwości zawodowych, ówczesna londyńska Polonia miała tyle osiągnięć. Ludzie pisali wspomnienia, pamiętniki, wiersze. Twórczość ich była terapią nie tylko dla piszących. Kultura dawała pewne możliwości upustu i stąd tyle najrozmaitszych dowodów aktywności intelektualnej, artystycznej, z której będziemy ciągle czerpać.

JSG: Takim przejawem aktywności kulturalnej z tamtego czasu, była grupa „Kontynenty", której jest Pan jednym z założycieli i pierwszym redaktorem pisma.

FŚ: Po trzyletnich studiach w Irlandii w roku 1950 przyjechałem do Londynu do pracy u dr Jerzego Pietrkiewicza. Natychmiast też wszedłem w kontakt z absolwentami i studentami usiłującymi stworzyć pismo młodych, które zaczęło się od kolumny w tygodniku, a potem miesięczniku „Życie". W 1951 roku zostałem redaktorem „Życia Akademickiego" (miesięcznego dodatku do tygodnika katolickiego „Życie"). Drukowaliśmy wtedy cztery strony, ale po jakimś czasie oddzieliliśmy się. Potem doszliśmy do wniosku, że dawanie komunikatów i pisanie o studentach nas nie zadawala. Wtedy „Życie Akademickie" przerodziło się w pismo „Merkuriusz Polski" i tam pojawiało się więcej ambitnych tekstów, felietonów, esejów, satyr. Po jakimś czasie doszło do scysji z wydawcą, władzami Zrzeszenia Absolwentów i Studentów, gdyż młodzi ludzie zaczęli zabierać głos w sprawach stanowiska politycznego wobec Polski. Mówiono, że młodzi się wyłamują, że chcą nawiązać kontakty z komunistyczną Polską, że nie stoją na straży wartości. Przyszedł taki moment, że materiały, które ukazywały się w „Merkuriuszu" po Październiku, nie spodobały się starszyźnie. Na walne zebranie przyjechał gen. Władysław Anders i podziękowano redakcji. Wtedy założyliśmy własne, od nikogo już nie zależne pismo „Kontynenty". Od początku współpracowali z nami ludzie na całym świecie, w

Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, w Izraelu. Drukowaliśmy za minimalną cenę, nikt żadnych pieniędzy nie brał, wręcz przeciwnie, składaliśmy się po funcie na miesiąc, żeby zapłacić Bednarczykom za druk. I tak z biuletynu związkowego „Kontynenty" stały się z czasem pismem kulturalnym o ambicjach poetyckich. Współpracownicy zaczęli wydawać debiuty poetyckie i wyszły dwie antologie, jedna na Emigracji, a druga w Polsce. Aczkolwiek „Kontynnety" przestały wychodzić w 1966 roku, przetrwała ich legenda i znalazła oddźwięk na polskich uniwersytetach.

Teraz o „Kontynentach" dużo się mówi w Polsce, a na kilku uniwersytetach studiuje się tę grupę. Ukazało się już drukiem kilka doktoratów na ten temat w Toruniu, Katowicach, Lublinie, Rzeszowie.

JSG: Jednym ze współtworzących „Kontynenty" był m.in. ksiądz profesor Janusz Ihnatowicz, laureat nagrody literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

FŚ: Cieszę się, że On i Jego mądre wiersze zostały w końcu dostrzeżone, gdyż wczesny wyjazd do Ameryki oddalił Go nieco od Londynu, głównego ośrodka emigracyjnych przetargów literackich. Dobrze też się stało, że zdążono uhonorować ogromnie pracowitego i zasłużonego dla teatru polskiego Bolesława Taborskiego (1927-2010).

JSG: Jak to się stało, że po 25 latach pobytu na Wyspach Brytyjskich przeniósł się Pan też do Londynu nad Tamizą, tylko że w Ontario?

FŚ: W moim życiu doświadczyłem wielu przypadkowości losu, jedną z nich była przeprowadzka z Wielkiej Brytanii do Kanady. Nie była to translacja ani zamierzona, ani nawet wyśniona. Jeden z moich kolegów z London School of Economics po stażu w Kanadzie, doniósł mi, że uniwersytet, który go zatrudnił był zainteresowany zaangażowaniem profesora języka hiszpańskiego, który miał doktorat Uniwersytetu Londyńskiego. Napisałem do kierownika katedry i dostałem zaproszenie na rok w charakterze wizytującego profesora nadzwyczajnego w roku 1969.

Niewiele wiedziałem o miejscu i uczelni do których się wybierałem. Po przyjeździe okazało się, że trafiłem do ślicznego miasta i renomowanej uczelni. Respektowano tam wiele angielskich tradycji znanych mi z Anglii. Po paru miesiącach zaproponowano mi stałą pracę, którą wykonywałem przez 22 lata do przejścia na emeryturę w 1991 roku.

JSG: Czym różniło się środowisko polonijne na Wyspach po wojnie od środowiska polonijnego w Kanadzie w latach późniejszych.

FŚ: Sądzę, że porównujemy tu sytuacje diametralnie różne. W przeciwieństwie do powojennego „polskiego” Londynu, w którym obserwowało się wysyp twórców, a jakość takich pism jak chociażby miesięcznik „Kultura” po dziś dzień nie została w Polsce osiągnięta, w prowincjonalnej Kanadzie skupisko polonijne, integrujące nowych imigrantów, z trudem próbowało w mało znanym środowisku znaleźć się gospodarczo, zakładało staroświeckie parafie i kontentowało się najprostszymi daniami kulturalnymi.

JSG: Ale po przyjeździe do Ontario, również rozpoczął Pan działalność kulturalną.

FŚ: W Kanadzie już w 1972 roku pomogłem założyć Polski Klub Dyskusyjny, który w prywatnym domu organizował spotkania i kulturalne oferty (mieliśmy m.in. wizyty Stefana Kisielewskiego, Jerzego Turowicza, Jerzego Pietrkiewicza). W lokalnej stacji telewizyjnej emitowałem 150 półgodzinnych programów telewizyjnych „Mosaic London”, w lokalnej bibliotece czytałem poezję po polsku i po angielsku.

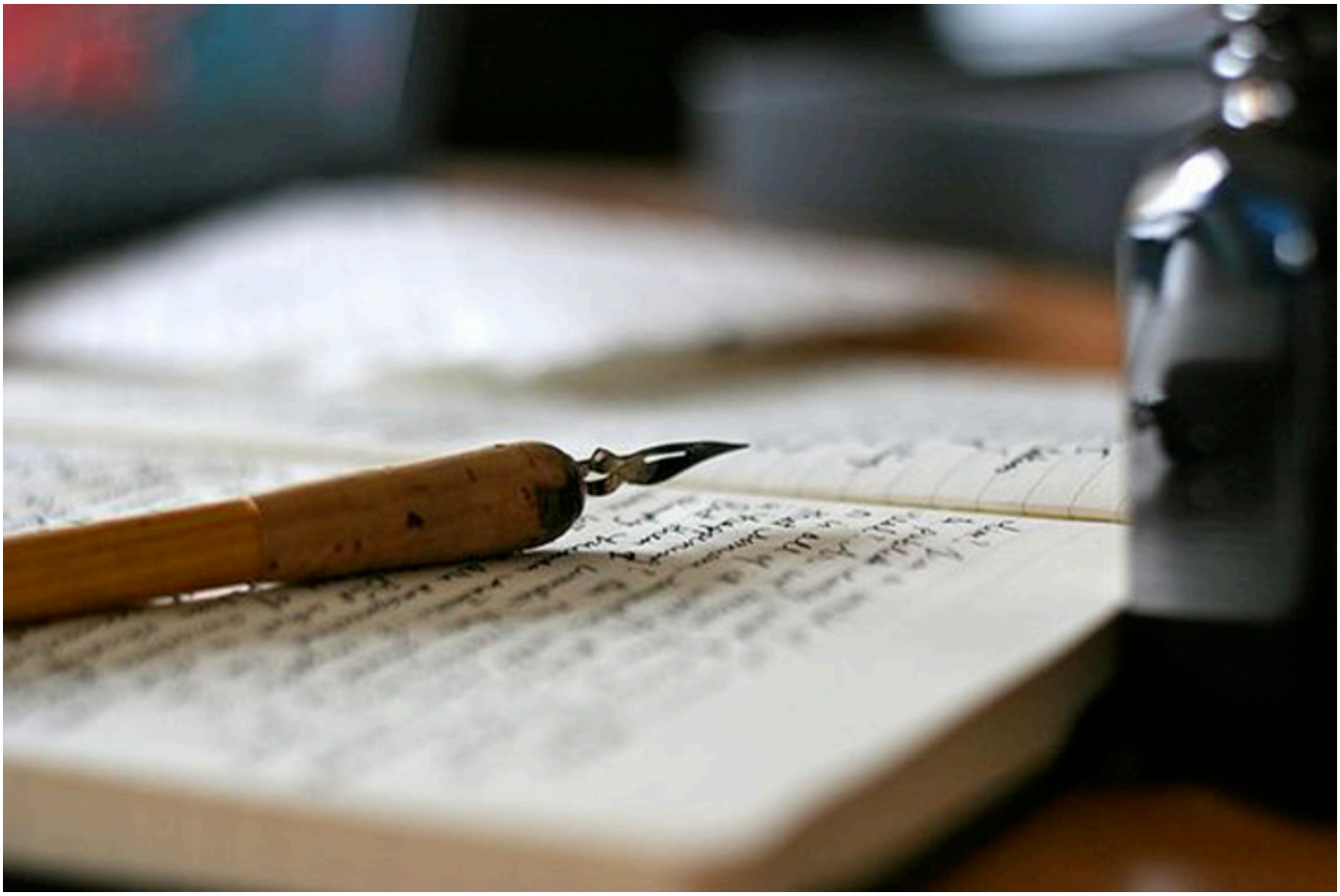

JSG: Po przejściu na akademicką emeryturę, przyjeżdżał Pan wiele razy do Polski, by uczyć literatury hiszpańskiej młodych Polaków. Mówił Pan kiedyś, że traktuje tę pracę, jak spłacanie długu wobec ojczyzny. Jaki dług miał Pan na myśli?

FŚ: Na obczyźnie zdobyłem kwalifikacje i praktykę pedagogiczną. Wykładałem Anglikom i Kanadyjczykom przez ponad czterdzieści lat. Zapragnąłem się podzielić wiedzą także z Polakami i dlatego poczułem, że lata po przejściu na emeryturę, które spędzam w Polsce, są dla mnie niespodziewanym dobrodziejstwem darowanym przez los. Udało mi się zetknąć z

setkami studentów nie tylko w Krakowie, Wrocławiu, Opolu i Częstochowie, ale także w Ostravie i Wilnie. Jestem po dziś dzień w kontakcie z niektórymi, jedną z byłych studentek z Wrocławia, odwiedziłem w Phoenix w Arizonie, a kariery innych śledzę, z niektórymi komputerowo współpracuję.

JSG: Jaką radę mógłby Pan dać, tym wszystkim młodym ludziom, którzy pragną tworzyć?

FŚ: Jeżeli człowiek nosi w sobie istotne przesłanie, które chce wypowiedzieć i to w sposób niebanalny, pierwszą satysfakcję będzie miał, jeśli mu się to uda. To już jest osiągnięcie, bez względu na to, czy spotka się z przyjęciem czy nie. Ważne jest, żeby być sobą, żeby nie być epigonem niczyjej myśli, nie iść w ślady innych ludzi, podszywać się pod nich, nie bać się jasności. Odpowiedzialność za naszą twórczość gwarantuje jej autentyzm. Nie należy przejmować się modą. Bycie dekonstrukcjonistą czy postmodernistą jest czymś chwilowym i wtórnym. Sukces powinien być niespodzianką, nawet dla autora. Może on oznaczać wiele rzeczy. Także dojrzałość, względnie znalezienie własnego głosu. Młody człowiek winien najpierw poznać siebie i upewnić się, że na prawdę chce i musi pisać, bo jak się nuży i szybko odpada, to znaczy, że się tylko bawił.

JSG: Od wielu lat utrwala Pan historie związane z ludźmi twórczymi, o których powinno się pamiętać. Czym dla Pana

jest bogactwo kontaktów i więzi międzyludzkich?

FŚ: Cieszyłem się zaufaniem i przyjaźnią wielu pięknych ludzi. Nie wszyscy mieli okazję, by obecność swoją zaznaczyć w ludnych i głośnych centrach. W emigracyjnym rozproszeniu ginęły nazwiska twórców, którzy zasługiwali na pamięć. Dlatego jadąc do Kalifornii szukałem Jana Kowalika i Jana Leszczę, do Wenezueli – Przemysława Chróściechowskiego, w Londynie szukałem Olgi Żeromskiej i Wojciecha Gniatczyńskiego, w Hiszpanii odnalazłem Piotra Guzego. Cieszę się też, że Jan Darowski wyszedł z cienia. Chętnie o nich piszę przeświadczony, że robię dobrą robotę. Przekonany jestem, że więzy międzyludzkie są na emigracji konieczne, by przetrwało poczucie podstawowej, podskórnej solidarności. Związek Polaków w Niemczech przed wojną ustanowił własny, szlachetny kodeks postępowania i jedno z jego praw brzmiało „Polak Polakowi bratem". Hasło nadal do zastosowania.

JSG: Stara się Pan, aby obraz przywoływanych postaci, który wyłania się z zakamarków pamięci był jak najbardziej prawdziwy.

FŚ: Nieraz ma się takie wahania, zastanawiamy się, co to jest tzw. prawda. Czy prawdą należy szkodzić człowiekowi, czy lepiej przemilczeć pewne rzeczy. Jeżeli przemilczeć, to czy zaznaczyć, że się czegoś nie dotyka? Myślę, że tu kultura człowieka ma duże

znaczenie. No i wiek. W młodym wieku człowiek wszystkich chce atakować, myśli, że ma do tego prawo, właśnie w imię prawdy. Z wiekiem człowiek pokornieje i rozumie, że trzeba bardziej oględnie pewne sądy ferować.

JSG: Prowadząc aktywne życie zawodowe na polu nauki i kultury, a jednocześnie nie zaniedbując życia rodzinnego, jak udało się Panu znaleźć czas na własną, tak bogatą, nagradzaną twórczość literacką i translatorską?

FŚ: Twórczość jest darem. Mogło jej nie być, mogła być bardziej wybitna, bogatsza. Nie była moją główną aktywnością i nie odbywała się w próżni, ale w życiu dość dramatycznym, na obcych ziemiach, wśród różnych ludzi, w przyswojonych językach. Wybory nie były wolne, przypadkowość wymagała szczęścia. A w czasach spokojniejszych było zbyt wiele pokus, obowiązków, powinności, ciążeń, prób, ciekawości. I one tę twórczość wybierały i kształtowały, ograniczały i wzbogacały. W żadnym momencie nie było dane skupienie się na jednym, by rezultat był godny, miał wagę swoją i rangę, miał ciężar gatunkowy i klasę. Niekiedy musiała wystarczyć powierzchowność, muśnięcie, wspomnienie. Twórczość musiała się zadowolić marginesem, skradzioną chwilą, ułamkiem atencji. Brakowało fachowej krytyki, płynny był konsument, a ja unikałem doktrynerów. Starałem się stronić od wysmażania schematów konstruowanych wedle uczonych recept modnych

alchemików, radowały mnie spontaniczne podszepty rodzimego pióra zdumiewające nieraz piszącego. Te nieliczne bardziej udane teksty sprawiają niespodziankę. Do takich zaliczę przekład „Platero y yo” – „Srebroń i ja” Jimeneza, „Wyrocznię podręczną” Baltasara Graciana oraz „Historię o Abindarraezie i pięknej Haryfie” anonimowego autora. No i tuzin albo dwa wierszy.

Wywiad ukazał się w „Pamiętniku Literackim” w Londynie.

Wacław Liebert – literat i ekonomista



Florian Śmieja

Urodzony 23 IV 1902 r. w Moskwie, był synem inżyniera, społecznika i organizatora szkolnictwa polskiego dla uciekinierów czasu pierwszej wojny światowej i rewolucji bolszewickiej, odznaczonego za swoje zasługi pośmiertnie krzyżem Polonia Restituta. W Moskwie spędził dzieciństwo i młode lata. Do Polski repatriował się mając lat osiemnaście. W Warszawie ukończył ekonomię na WSH. Pracował najpierw w zarządzie, a potem jako naczelny dyrektor założonej przez ojca fabryki wodomierzy i gazomierzy w Toruniu.

Kiedy Niemcy przejęli fabrykę, Liebert przeniósł się do Kielc, gdzie wraz z żoną, Wandą, należał do podziemia aż do końca

wojny. W 1945 r. na wniosek robotników wrócił do swojej, upaństwowionej już, fabryki na kierownicze stanowisko, ale prześladowany przez SB uszedł z rodziną w 1947 do Szwecji, gdzie m.in. pracował jako robotnik w fabryce tekstylnej. W 1951 r. przyjechał do Kanady, do Montrealu, a następnie do podtorontońskiego Bramalea. Do wieku emerytalnego pracował jako projektant.

Zmarł na raka, znoszonego przez lata z pogodą, 27 lipca 1993 roku. Pogrzeb odbył się w Mississaudze, ale prochy spoczęły w rodzinnym grobie w Warszawie.

W ankiecie wypełnionej niedługo przed śmiercią Liebert nazwał siebie ekonomistą i literatem. Po licznych artykułach politycznych na temat życia pod reżimem komunistycznym, drukowanych głównie w detroickim „Dzienniku Polskim", na tychże łamach zadebiutował powieścią „Piraci w bzach" oraz drukował opowiadania, których miał się stać mistrzem. Na konkursie Związku Aktorów Scen Polskich w Londynie w 1950 r. dramatem „Szkarłatna suknia" zdobył wyróżnienie. Był współpracownikiem londyńskich „Wiadomości", a pod koniec życia związał się z torontońskim tygodnikiem „Echo".

W Montrealu i Sydney grano jego sztukę „Tysiąc gorejących". Jest ponadto autorem komedii „Coca Cola". Większy rozgłos przyniósł mu dopiero tom wspomnień z Rosji „Wrony nad

Moskwą", wydany w 1974 r. przez londyński Polski Fundusz Kulturalny. Znajdziemy w nim plastyczne przedstawienie losów Polaków na tle ginącej Rosji carskiej i rodzącego się komunizmu. Z kolei napisał powieść „Ewidencja W.16" (Londyn 1981). Jest to rzecz o Chorwacie, nazwiskiem Hans Wittek, który stał na usługach gestapo i dał się we znaki polskim patriotom na Kielecczyźnie. Fragmenty karty ewidencyjnej protagonisty poprzedzają poszczególne rozdziały książki, które te dane rozszerzają i uzupełniają przytaczając dodatkową ewidencję wzbogaconą intuicją i fantazją autora respektującego ściśle wydarzenia okupacyjne z zachowaniem autentycznych nazwisk i sylwetek gestapowców, ich konfidentów oraz pseudonimów członków podziemia. Książka posiada sensacyjną fabułę, co sprawiło, że przedrukowana w Polsce przez wydawnictwo Volumen stała się bestsellerem.

Tom opowiadań „O miłości i tak dalej" (1982) został wyróżniony przez Ontario Arts Council. Wacław Iwaniuk z tej okazji nazwał autora „narratorem z Bożej łaski" podnosząc rozległość tematyki, jakość techniki pisarskiej oraz artystyczne osiągnięcia. Wyróżnił on szczególnie opowiadania z terenu Kanady jak „Bretnal" oraz „Złote runo", świetnie podpatrzone przejawy kompleksu roszczeniowego rodaków przyjeżdżających z PRL-u. Jego bohater, Duduś, jest przykładem człowieka zdemoralizowanego przez system komunistyczny, którego nie zmieni fakt przeniesienia się w inne miejsce. Liebert nazwał takich

osobników „mormonami”, czyli łapigroszami, od angielskiego *more money.*

Tom lekkiej, dowcipnej prozy zatytułowany „Byłe i niebyłe”, wydany nakładem tygodnika „Echo” (1990), cechuje również rozpiętość tematyczna: od obrazu ostatnich dni Stanisława Augusta w Grodnie, po historię przyjezdnej Polki wydającej się za majętnego emigranta, aby uśmiercić go poszatkowanymi włosami z własnego warkocza dodawanymi do jedzenia. Liebert pisał do końca życia meldując pracę nad sztuką (humorystycznym opowiadaniem) „Ogród szczęśliwości”. Zdołał ją ukończyć, mimo że praca szła mu opornie. Skarżył się na wzrok, a także na

> świadomość idealnej obojętności naszego społeczeństwa na wszystko, co nie jest produktem ich subkultury. A ta wydaje mi się obca i niezrozumiała. Czasem podejrzewam, że w ogóle jej braknie.

Rodzina była jego mocnym atutem. W żonie miał znakomitą towarzyszkę przygody literackiej, bo ona była jego najbliższą współpracowniczką, czytelniczką i korektorką.

Liebert, ekonomista, był przykładem profesjonalisty, który na innym polu, w tym wypadku literatury, ma równie solidne

osiągnięcia. Jego sztuki, powieści i opowiadania ukazują inwencję, łatwość operowania wymyślnymi wątkami, bogaty kalejdoskop kobiecych postaci, humor i doskonały język. Był urodzonym karykaturzystą. Wyznał kiedyś, że patrząc na ludzi przerysowuje ich „podkreślając śmieszności, ułomności czy głupotę, niezależnie z jakiej pochodzą sfery czy klasy społecznej". Tematyką swoją (nie licząc wycieczek w epokę jaskiniową czy czasy starożytnej Grecji) objął, posługując się wspomnieniami, obserwacją, a nawet pilnymi studiami obok śmiałych wzlotów fantazji, szmat ziemi na dwu kontynentach, od rewolucyjnej Rosji, okupowanej Polski, krajów europejskich po Kanadę. Dał świadectwo nie tylko temu, co zaszło dawno i wczoraj, ale co się dzieje dzisiaj, rejestrując zmieniające się stosunki i style życia na emigracji na styku emigracji wojennej i nowej, ekonomicznej.

Jak większość pisarzy emigracyjnych, niedoceniony i nieznany, znalazł przecież czytelnika i krytyka w Polsce, gdzie zainteresowano się jego teatrem, a oprócz „Wron nad Moskwą" na półkach księgarskich znalazła się „Ewidencja W.16". Wiadomości te radowały autora. Nie doczekał się wprawdzie wydania tam swoich opowiadań, ale pewien jestem, że to nastąpi w przyszłości. Liebert czas swój na obczyźnie rzetelnie okupił.

Powroty Jana Darowskiego



Londyn. Widok na pałac Westminster.

Irena Wyczółkowska

Sympatyczna niespodzianka: gruba koperta, a w niej książka: *Powroty. Wybór wierszy Jana Darowskiego,* opublikowana w Raciborzu w 2008 r. przez wydawnictwo Raciborskie Media. Do książki dołączono pismo „Brzeski Parafianin", które ukazuje się przy Parafii Rzymsko-Katolickiej św. Apostołów Mateusza i Macieja w Brzeziu nad Odrą – ofiarowany mi numer ma charakter okolicznościowy, jest bowiem w całości poświęcony pamięci poety, eseisty i tłumacza Jana Darowskiego, który urodził się w Brzeziu i tam również, zgodnie ze swoją ostatnią wolą, został pochowany.

Pismo zawiera listy Darowskiego, wspomnienia o nim, słowa mówiące o jego dorobku jako autora świetnych przekładów literatury polskiej na język angielski, m.in. Miłosza, Herberta, Różewicza, Białoszewskiego, oraz dokonaniach poetyckich, wierszach pełnych goryczy – tych śmiałych i bezkompromisowych wypowiedziach o polskiej historii, o moralnych dylematach życia na obczyźnie. Najciekawszy w piśmie jest artykuł profesora Floriana Śmieji z Kanady, który przyjaźnił się z Darowskim od wielu lat, łączyły ich wspólne zainteresowania, praca w redakcji słynnych już dzisiaj pism polskiej emigracji „Merkuriusz" i „Kontynenty", gdzie, jak wspomina profesor Śmieja:

> [Darowski] wniósł świeże, odważne spojrzenie, niebanalną

> myśl, wiele serca oraz gruntowną znajomość warsztatu drukarskiego.

Profesor Śmieja napisał także wstęp, który opatruje pośmiertny wybór poezji Darowskiego. Treść i artykułu, i wstępu będzie nader istotna dla wszystkich, którzy cenią sobie lekturę uważną, wnikliwe poznawanie intencji poety, tajników jego artystycznego myślenia. Oba teksty nader plastycznie ukazują sytuację poety emigracyjnego, tu słowa Floriana Śmieji:

> twórcy bez czytelnika, tworzącego w obcym kraju, wśród nieswojego społeczeństwa.

Autor wstępu przytacza melancholijne stwierdzenie poety:

> Jeśli sam akt twórczy całkowicie nie spełnia i nie jest sam w sobie najlepszą nagrodą, wtedy gra nie warta świeczki.

Z tekstów towarzyszących wyborowi wierszy wyłania się sylwetka poety nie dość, że niebywale skromnego, to jeszcze o zaniżonym poczuciu własnej wartości, kogoś, który nader pesymistycznie postrzega pozycję poezji w racjonalnym i dalekim od uduchowienia świecie współczesnym.



Irena Wyczółkowska i Florian Śmieja w Wilnie.

Chciałabym jeszcze dodać, że we wspomnianym piśmie parafialnym znajdują się także fragmenty prac maturalnych i dyplomowych omawiających poetycki dorobek Darowskiego. Jak to dobrze, że i na nie zwróciłam uwagę – wbrew często słyszanym biadoleniom, mądrzy są ci młodzi ludzie, wiele widzą i rozumieją, choć, wtrącę kąśliwie, nie zawsze piszą najsprawniej. Godne pochwały wydały mi się refleksje dziewczyny, która w obrazach przedstawianych przez Darowskiego dostrzega podobieństwo do wizerunku emigracji w epilogu do *Pana Tadeusza*. Bywają to wiersze, jak choćby głośny *Luksus*, wręcz okrutne, pisane z bólem. Oto ów wiersz, przyznacie Państwo, niezwykle przejmujący:

Co nas trzyma tutaj

wśród tych zręcznych kupców

sto tęsknot od domu

na bazarze wszystkiego pod słońcem

nic prócz krwi tu nie mogących sprzedać

nic prócz smutku kupić?

Luksus – wiadomo

Luksus patrzenia na rzeczy

luksus czasem dotykania rzeczy

i luksus mówienia

że są tym czym są

A nie tym co mówią

Oczy pełne strachu

lub doradza że lepiej by były

życiowy kompromis

> Luksus ciężko zarobiony
>
> krociem kalectw zapłacony
>
> i droższy niż życie

Zwolennicy kunsztownej zabawy poetyckiej, nowych przestrzeni stwarzanych przez wyobraźnię, finezji i elegancji na pewno nie staną się miłośnikami twórczości Darowskiego, być może wyda się im nawet jedynie moralizującą publicystyką. Ale to pisarstwo odwołuje się do nurtu, który w naszej literaturze miał swoje szlachetne tradycje, do epok, które wierzyły jeszcze w estetyczną kategorię wzniosłości, w misję poety – wrażliwego świadka i krytyka swoich czasów.

Hece z Lecem (1909-1966)

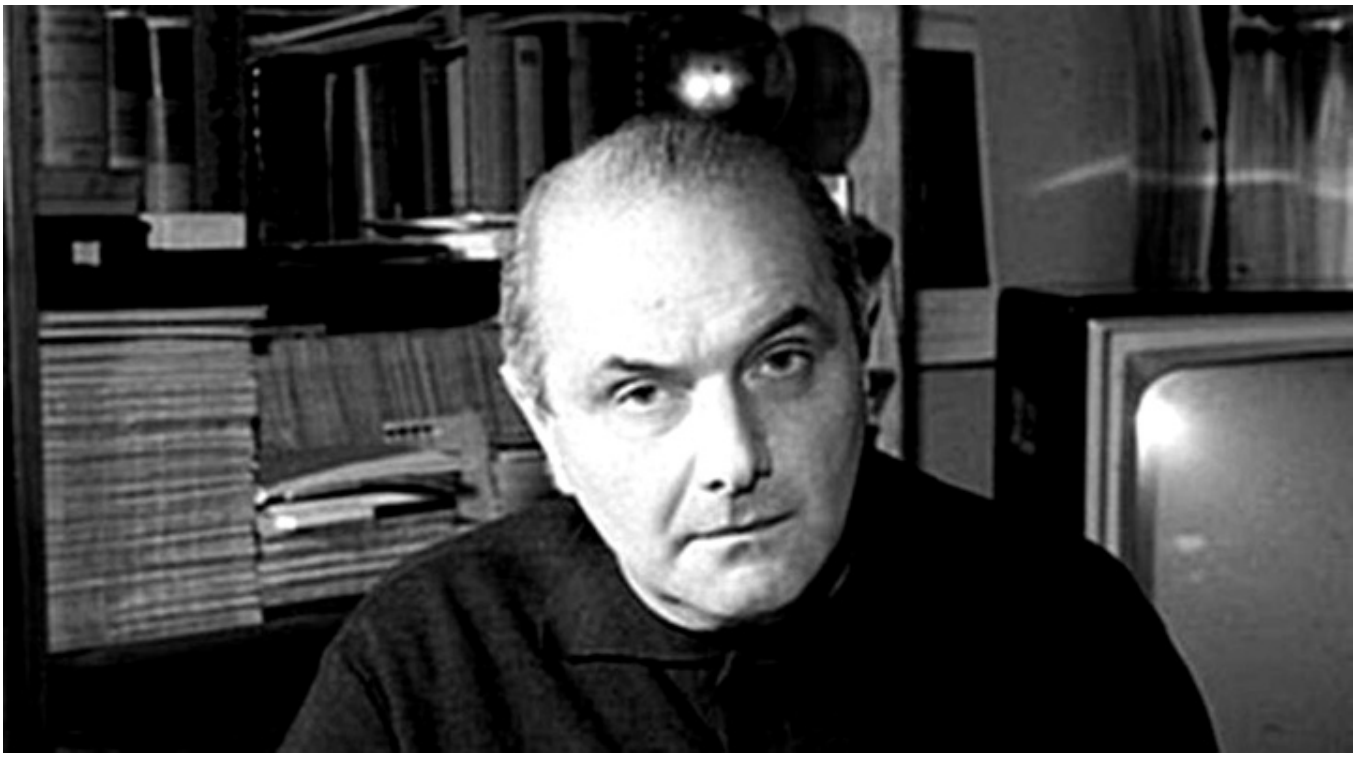

Stanisław Jerzy Lec

Florian Śmieja

W Maladze w 1975 roku poznałem lekarkę z Warszawy. Konwersacja zeszła na wspólnych znajomych. Wspomniałem Leca i to, że po raz ostatni rozmawiałem z nim w 1966 roku. Telefonowałem wtedy do szpitala. „To do mnie pan telefonował.

Lec leżał u mnie”, stwierdziła.

Miesięcznik „Kontynenty”, który redagowałem w Anglii zorganizował Lecowi w Londynie w 1963 roku wieczór autorski w sali Instytutu im. Gen. Wł. Sikorskiego. Publiczność dopisała. Pamiętam jak następnego dnia wędrowaliśmy razem po mieście, aby między innymi, kupić wygodne zamszowe buty. Parę lat później w Zakopanem wyjechawszy na Gubałówkę, niespodziewanie natknąłem się na odpoczywającego na trawie poetę. Opowiedział mi wtedy zabawną historię, jaka mu się zdarzyła. Kiedyś do jego stolika przysiadł się nieznany osobnik z poufałym odezwaniem: „My się znamy”. Kiedy Lec odpowiedział przeczącym ruchem głowy, nieznajomy wyjaśnił „Pracujemy od lat razem. Jestem pańskim cenzorem”. Ponoć po śmierci Leca pod jego poduszką znaleziono karteczkę z sentencją: „A to heca, nie ma Leca”.

„Myśli nieuczesane” ugruntowały pozycję Leca u czytelnika polskiego i rozniosły jego imię po całym świecie. Posypały się przekłady na ponad tuzin języków. W Niemczech jego aforyzmy zrobiły zawrotną karierę. Karl Dedecius, który je znakomicie przełożył, nie znalazł w Warszawie wiary, gdy mówił, że rozeszło się pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy. Dziś ta cyfra wygląda wprost niewiarygodnie: 40 wydań i 500 tysięcy.

„Myśli nieuczesane” tak zwana mała forma, to aforyzmy wzięte z

życia, z sytuacji polskiej i z literatury. Umysł Leca, subtelny i wrażliwy na odcienie językowych możliwości, pozostawił nam tysiące „myśli" uskrzydlonych, skrzących się dowcipem, błyskających erudycją, frapujących paradoksami, bawiących skojarzeniami, a smagających tchórzy, hipokrytów i głupców. Do pasji musiał nieraz doprowadzać ludzi o ograniczonym poczuciu humoru waląc na odlew prawdami oczywistymi dla każdego, a których nie dało się żadnym paragrafem utrącić. Dla zwolenników ostrej cenzury, Lec był autorem bardzo niewygodnym. Tacy bowiem chcą artystę ubezwłasnowolnić, ograniczyć do roli muzykanta brząkającego na zamówienie. Ma on bawić i omamiać, lecz nie, broń Boże, niepokoić i zdzierać maski z durniów!

Politykom nadużywającym cierpliwości ludzkiej rzekł, że „Ci, którzy mają ideę w gębie, mają ją zazwyczaj i w pobliskim nosie" oraz, że „Czasem sztywna postawa jest wynikiem paraliżu". Łaknącym poklasku odburknął: „Nie dziw się, że kto nie pachnie, lubi, by mu kadzono". Donosicielom szczególnie często dostawało się od Leca: „Najlepiej podstawiają nogi karły, to ich strefa".

Zauważyliśmy już na wstępie, że aforyzmy Leca powstawały z refleksji nad życiem, z jego absurdami i ironią, z zadumy nad człowiekiem i jego sytuacją w świecie i u innych. W naszej emigracyjnej sytuacji nie bez znaczenia były takie powiedzenia

jak: „Kto nie chce być zaszufladkowany, niech gotuje swoją trumnę”. A wskazanie: „Gdyby niejeden wypuścił ster z ręki, mógłby się puknąć w czoło”, zdaje się być stworzone dla dożywotnich prezesów pod każdą szerokością geograficzną. U nas tym bardziej nie straciła na wadze bystra obserwacja: „I wygasłe kratery jeszcze zieją. Zawiścią”. Albo i takie spostrzeżenie: „Nie każdy pasterz pędzi swe owieczki, by się pasły na wyżynach ducha”. Nie trudno też zgadnąć, że poeta pił do różnych naszych Baranowic mówiąc: „Prowincja umysłowa – usiłowanie myślenia z dala od mózgu”.

Nie wiedząc nic o wydanym w Argentynie po hiszpańsku tomie „Myśli nieuczesanych”, dokonałem własnego wyboru i przekładu. Kolumnę pt. „Polonesa no brillante” wydrukowałem w miesięczniku „Estafeta Literaria” (Madryt, 2.7.1966) a tomik zatytułowany „Pensamientos desmelenados” nakładem Universidad Autónoma de México ukazał się w roku 1985. Czerpały z niego następnie pisma meksykańskie i kolumbijskie.

I tak Lec, który miał ambicję być poetą lirycznym (skarżył się, gdy liryki, które mi dał do druku umieściłem na ostatniej stronie naszego pisma), a był satyrykiem w czasach mało sprzyjających krytycznemu spojrzeniu, pod koniec życia uznany został przez świat za niezrównanego mistrza małej formy, za znakomitego twórcę aforyzmów, które weszły do skarbca literatury i choć gorzka kropla piołunu zawarta jest w niejednym, na długo

pozostaną wśród ważnych porzekadeł, bo nic nie wskazuje na to, by ludzie i świat mieli się wnet drastycznie zmienić.

Boże Narodzenie w Janaszowie (1939)



Janusz A. Ihnatowicz

Przyjazd

Gdy się na Boże Narodzenie przyjeżdża na wieś, powinien być lekki mróz drżący piórkami szronu w słonecznym powietrzu i biały wiejski śnieg. I powinno się jechać od kolei sanną dzwoniącą, rozświergotaną płozami, trzaskającą jak lód na stawie, gwiazdkową sanną.

A tu stacyjka tonie w mgłach i mżawce. Pociąg czarny i zachmurzony wlókł się przez opłotki przedmieść, które jesień utrapiona wciąż pokrywa liszajami pleśni i nadgniłych kapuścianych liści; przez pola, co rozłożyły się sine i nieskończone w pomroce szarugi jak zniechęcone sny. Też bez końca. I zatrzymał się postękując nos w nos z betonowym wiaduktem szosy. Dym przytłoczony deszczem opiera się na semaforze zamykającym stacyjkę na klucz. A zresztą jest zmierzch.

Przed dworcem toniemy w błocie ziemi, sieczki i końskiego nawozu. I nie ma wymarzonych sanek lekkich jak puch, nie ma nawet karety, tego pudła tajemniczych wspaniałości w ciemnym wnętrzu pachnącego skorą i pluszem. Jest tylko furman, cztery folwarczne konie i ciężki wóz.

– Roztop taki, powiada, ze niczym innym nie przejedzie.

Tak się rozwiewa sen o przyjeździe w grząskich koleinach przed-dworcowego bagna.

Wóz wypełniony jest sianem: egzotyczna wiejska woń. Owinięty w szuby i kożuchy od słoty i wilgoci zapadasz się w elastyczną poduszkę, w szeleszczący stóg. Gdy się tak ciężko wspinamy ku wysokościom nasypu szosy, nasz pociąg pisnąwszy gniewliwe raz jeszcze rzuca ku nam łopatę dymu i chowa się pod most. A my już dudnimy po asfalcie przez wieś.

Wieś jest osowiała jak i ten czarny grudniowy przed-wieczór. Odchylone od szosy chałupy plecami oparte o opłotki i sady szarych szkieletów. Okna puste mrokiem jak studnia bez wody. Oślepła wieś spowita w ślepnący dzień. Przed kościołem szeroka przestrzeń napełniona czczością zmierzchu. Tylko dalej między płotami księżego ogrodu odzywa się żałośnie krowa, ołowiana trąba na ostateczny sąd.

A niebo też ołowiane. Wieś za nami. Skrzypią koła. Kopyt mokre miękkie pac pac, to poszumy jak darcie płótna po kałużach. Gołe tarniny wzdłuż drogi to tu to tam wyrastają w zmartwiałą sosnę. Wrony jakby spłoszone klekotem wozu, wzbijają się, czarne krzyżyki, w czerniejące niebo. I zapadasz się wielbłądzie kołysanie sianowego grzbietu.

Gdy się budzisz jest noc i las. Korzenie uderzające raz po raz

trach trach. Potem zachrobotały tory kolejowe. Światełko i psy leśniczówki i znów milczenie mokrych sosen. Patrzysz w ciemność nieba i czarniejsze powoli sunące cienie gałęzi. Niebo się chwieje od dziur leśnego traktu jak wielkie wahanie usypiającego świata.

A potem jest dużo wrzawy w białej sieni. Senna kolacja w wielkiej jadalni, gdzie wiszą obrazy jakichś osób z wąsami i orzeł i pogoń po obu stronach drzwi do kuchni. Na stole długim jak świat, w półmroku jednej lampy o mlecznym kloszu w róże i fiołki, zsiadłe mleko i ziemniaki uwieńczone parą i kwiatami olbrzymich skwarek.

I wielkie łoże z oceaniczną pierzyną odpływające daleko, gdy wiatr śpiewać zaczyna w kominie, a za kominem świerszcz. A gdzieś, hen, na drugim końcu tego dryfowania, czarodziejski kraj – Wigilia i podchoinkowy skarbiec radości.



Dawna pocztówka

Piewca Beskidu Śląskiego. Paweł Łysek (1914-1978).

Florian Śmieja



Paweł Łysek

Przeglądam kilkunastoletnią korespondencję ze zmarłym w Nowym Jorku pedagogiem i pisarzem Pawłem Łyskiem. Wracają dawne lata, poznanie w Londynie, a potem gościna w jego amerykańskiej rezydencji *Beskid Ranch* na Long Island; wreszcie odwiedziny jego skromnego domu rodzinnego w Jaworzynce i grobu na cmentarzu w Istebnej.

Paweł urodzony w 1914 roku w Jaworzynce, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1935-39. Po wybuchu

wojny zbiegł przed poszukującą go policją niemiecką na Węgry, przedostał się stamtąd na Wyspy Brytyjskie i wstąpił do Polskiego Wojska. Kiedy skończyła się wojna, wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie podjął studia bibliotekarskie. Jako bibliotekarz i wykładowca pracował na *City University* w Nowym Jorku od 1952 roku do swojej śmierci w 1978.

Pierwsze próby literackie przerwała wojna. Łysek nie odłożył jednak pióra zupełnie: pisał sumiennie pamiętnik, który miał później wydać w dwu tomach pod tytułem: „Z Istebnej w świat" (1960) oraz „Poszło na marne" (1965). To w tych książkach opowiedział koleje ucieczki na Zachód, swoją służbę wojskową, niezłomną wiarę w zwycięstwo słusznej sprawy, choć jednocześnie nie taił rozgoryczenia do aliantów, którzy nie wywiązywali się z zaciągniętych wobec Polski zobowiązań. Absolutna szczerość relacji i ich prostota, to wielkie zalety jego wspomnień i obserwacji zwyczajnego żołnierza uwikłanego w największy konflikt naszych czasów. Prawda tych tekstów jest oczywista, a bije z niej nieugięty idealizm młodego pokolenia Polaków wychowanych między wojnami.

W wydawanym przed laty piśmie młodych w Londynie omówiłem książki Łyska. Był mi za to wdzięczny i namawiał dyskretnie, bym napisał recenzje do publikacji bardziej znanych, jak „Wiadomości" Grydzewskiego czy „Kultura" Giedroycia. Przebywając w Stanach Zjednoczonych czuł się nazbyt oddalony

od tych dwu znakomitych pism ukazujących się w Londynie i w Paryżu. Polubił też moje „poetyckie pióro”:

> Bo to już ten poetycki styl zawsze lepiej okrasi nawet rzecz, która nie grzeszy specjalną wielkością. Oczywiście z pokorą przyjmę i wszelkie ujemności i niedoskonałości napisane szczerze, jak to winno być w każdej bezstronnej krytyce.

Mimo, że był człowiekiem nieśmiałym i nie miał doświadczenia z promocją książek i do tego własnych, rozumiał dylemat recenzentów.

> …Pisanie omówień nie jest rzeczą specjalnie przyjemną, a zwłaszcza, gdy się osobiście zna autora; bo z jednej strony nie chce się urazić osoby, a z drugiej trzeba jednak kierować się obiektywizmem. Zdaję sobie też sprawę, że „Z Istebnej w świat” było rzeczą ciekawszą i więcej emocjonalną; zaś „Poszło na marne” – gdzie akcja odbywa się na dalekich tyłach – nie mogła tak bardzo zainteresować czytelnika – pisał w liście.

Czytając gwarą przetykane narracje, zarzuciłem mu bodaj nieuporządkowanie języka. Mało zdawałem sobie wówczas

sprawę z tego, że przecież autor musiał się zmagać z płynnym zjawiskiem, gwarą nieskodyfikowaną, bez ustalonej gramatyki, słowników i innych wzorców, daleko od ludzi tym dialektem się posługujących.Niemniej Łysek od tych początków zajął się językiem bardzo intensywnie i zrobił w kolejnych publikacjach ogromne postępy.

Zachęcony ukazaniem się drukiem wspomnień, zwrócił myśl z kolei ku rodzinnej ziemi, ku górom w których się wychował i jej mieszkańcom. Zaczął pisać sceny i obrazki z życia górskich wsi używając gwary coraz śmielej. Tak powstał tom „Przy granicy” (1966). Pochwaliłem nową tematykę Łyska a on pospieszył z zapewnieniem

> …Jest Pan w części odpowiedzialny za urodziny tego dziecka.

Wiem, że także Kazimierz Wierzyński radził mu trzymać się tematyki beskidzkiej, szczególnie, kiedy zapoznał się z „Przy granicy”. W tej książce oglądamy panoramę trzech wsi: Istebnej, Jaworzynki i Koniakowa. Ich odrębność w mowie, stroju i obyczajach znalazła w Łysku najpilniejszego kronikarza, który je z pietyzmem odnotował i niejedno ocalił od zapomnienia. Pokazał bogaty, tradycyjny rok na wsi: skubanie pierza, wilię, prządki, obrzędy wielkanocne, przednówek, wesele, odpust, dożynki, różne święta, starte podania i przesądy. Książka okraszona

piosenkami kończy się mocnym akcentem martyrologii górali w czasie okupacji.

Łysek znalazł się wreszcie w swoim żywiole, podjął właściwy temat, który okazał się rogiem obfitości rozpierającym swoją formę. Może dlatego Łysek dostrzegł z kolei możliwości powieści osadzonej w tym bogactwie i tak powstało „Twarde Żywobycie Jury Odcesty".

Małorolny góral wraca z wojska austriackiego i szykuje się do ożenku i założenia rodziny. Inteligentny choć bez wykształcenia, ciężko pracuje, by zapewnić byt swoim. Nie jest obrotny, ma zbyt wiele skrupułów, nie umie przedkładać zysku nad wszystko inne. Prowadząc karczmę nie potrafi zapomnieć o tym, że rozpijanie górali nie powinno być ceną lepszej doli jego rodziny. Kiedy wchodzi w spółkę, by handlować bydłem, pada ofiarą nieuczciwego wspólnika. Zostaje na koniec owczarzem, a postradawszy zmysły dostaje się do zakładu, z którego ucieka, aby umrzeć we własnym domu i mieć gazdowski pogrzeb.

Ta opowieść o górach, w których znalazły się szczegóły z życia ojca autora, przypomina nam także historię pierwszych osadników Beskidów, wplata ludowe podania i gadki, raz po raz rozbrzmiewa pieśniczkami, wśród których są autentyczne teksty samouka Jana Probosza.

Powieść jest umiejętnie skomponowana, przysłowia stanowią tytuły rozdziałów. Gwara pokazuje nieznane oblicze śląskiej ziemi. Obrazowanie jest oszczędne, naturalne, najbliższe rzeczy. Przekonywująca robota pisarska sprawiła, że nie powstaje banał.

Powieść jest owocem twardej walki Łyska: ze sobą, z miękkością spojrzenia i tendencją do popadania w łatwą ludowość; z językiem – z pewną obcością literackiej polszczyzny ustawicznie podważanej przez bliższą jego sercu gwarę nieokiełznaną rygorami mowy pisanej; z wydawcą i czytelnikami – żeby ich przekonać do niezwyczajnej tematyki, stylu i języka.

Znajdziemy w niej pamiętne strony, czujemy, że ostatnia zabawa w zamykającej się karczmie, ostatnia muzyka, jest lamentem i trenem na przemijanie i odmianę życia beskidzkich górali. Serdeczną tęsknotą autora, górala rzuconego w inny kamienny świat.



Paweł Łysek z góralami, fot. arch. F. Śmieji.

Moje pisanie w podobnym tonie spotkało się z żywą aprobatą Łyska. Zrozumiał, że udało mi się wyczuć „duszę” jego twórczości.

> Bo zakątek to piękny, a lud dobry i poetyczny. Szkoda, że ząb czasu, system i inne wpływy niedobrej cywilizacji niszczą to wszystko, co wieki zbudowały. I to było jednym z celów mojej książki, by świat ten – jego zwyczaj i obyczaj ratować choć w książce.

W tym samym liście autor doniósł, że wysłał do Giedroycia, do Paryża nowy maszynopis powieści „Marynka, cera gajdosza".

> Książką tą chciałem zamknąć moją trylogię beskidzką i szukam na nią wydawcy. Oby się rzecz „uzdała" Giedroyciowi, choć wątpię, by to wydawał, bo pisząc do mnie, spodziewał się, że rzecz będzie miała szersze podłoże polityczno-społeczne, a w rzeczywistości tak nie jest.

Już kilka lat wcześniej w roku 1970 namawiając mnie do napisania recenzji „Twardego żywobytu…" Łysek objaśniał:

> …Jest to druga książka mojego cyklu beskidzkiego (czy epopei beskidzkiej – jak to nazwali i Most w Polsce i Kowalewski w Londynie); pierwsza książka z tej serii była „Przy granicy", druga, „Jura Odcesty", a trzecia będzie „Roztomiła Marynka". Akcja ostatniej rozgrywa się w

> Beskidzie i na Zaolziu. Tak chyba wyczerpałbym tematykę beskidzką.

Łysek nabrał zaufania do mojego odczytywania jego twórczości. powieściowej, wiedział, że może liczyć na sympatyzujące opinie dotyczące roli gwary, a wiedział, że opisywane ziemie nie były mi obce, a tym bardziej egzotyczne. Zwierzył się, że długo się zastanawiał, czy mnie nie poprosić o napisanie wstępu do „Marynki", która się miała ostatecznie ukazać w Londynie w serii biblioteki Polskiej Fundacji Kulturalnej. Zwrócił się więc do W. Oszeldy z Cieszyna, otrzymał szkic, który mi przysłał z adnotacją:

> Chcę byś miał to w całości, bo Sakowski to pewno skróci, jako że rzecz jest nieco za długa. Jest to ładnie napisane, ale może za wiele jest pochwał pod moim adresem. Ale Oszelda to bardzo romantyczny człowiek i wielce zakochany w Beskidzie.

Kiedy na jesieni 1973 roku wyszła „Marynka" Łysek przysyłając mi egzemplarz i cytował opinię wydawcy, Sakowskiego, wyrażoną Marii Danilewiczowej, że to jego najlepsza książka, lepsza od „Jury". Nic więc dziwnego, że autor bardzo się uradował i prosił mnie o opinię uważając, że jestem, jak się wyraził, „specjalistą od moich śląskich powieści i opowieści".

Nawet spytał wprost:

> Czy nie uważasz, że może moja „Marynka” byłaby lepsza do przedruku w Kraju? Oczywista, to wcale nie dowodzi, że tam cokolwiek wydadzą, bo nad Szewczykiem jest cenzura i sto innych urzędów.

Myśl tę powziął na wieść, że Oszelda rozmawiał z Wilhelmem Szewczykiem, redaktorem szeregu śląskich czasopism społeczno-kulturalnych, pisarzem i publicystą oraz obrońcą śląskości przed próbami internacjonalistycznego równia i rugowania regionalnych cech i tradycji.



Koronczarki z Koniakowa, 1970 r., fot. E. Poloczek.

Opowieść o Ślązaczce z wiejskiej biedoty była zamierzona jako zamknięcie cyklu o tematyce beskidzkiej. Nie przypominam już sobie, co autorowi na jej temat powiedziałem, bo w tym czasie miałem kłopoty z otrzymaniem egzemplarza książki, a potem w ferworze wyjazdu z całą rodziną na rok do Europy (do Polski i Hiszpanii) straciłem orientację i rachubę czasu, tak że nie zdołałem spisać w terminie swoich odczuć i urwała się nasza korespondencja.

Tadeusz Nowakowski, nie znający stron Łyska poświęcił „Marynce” dłuższe omówienie. Zauważył, że niskie pochodzenie jego protagonistki dało autorowi uczulonemu na dolę ludu sposobność do ewokacji klimatu moralnego przedwojennego Śląska po obu stronach Olzy (fabuła toczy się za młodości narratora), zobrazowania psychologii i mentalności tubylczej, ukazania barwnej panoramy folkloru, obyczaju, świata wierzeń, ocalenia wielu pieśniczek, reliktów obrzędowych, przysłów, powiedzonek i rarytasów językowych przed zapomnieniem.

Po napisaniu trylogii góralskiej Łysek przypomniał sobie jeszcze temat zbójnicki. Jego bohaterowie idą wprawdzie w ślady słowackiego Janosika i jego śląskiego odpowiednika Ondraszka, ale nie przestają być prawymi synami jego górskich dziedzin. Ich barwne życie biegnie równocześnie naturalnym trybem. Do lasu pędzi ich los, lecz dobra natura nie pozwala na wyuzdanie. Każdemu z tych beskidzkich młodych, kryjących się w lasach przed poborem do wojska austriackiego, przyświeca ideał, by jedynie uszczknąć trochę bogactwa zachłannego handlarza. Łup pozwala im przetrwać do czasu, kiedy ustaje łapanka i nadarza się okazja, by osiąść w jednej z przygranicznych wsi, ożenić się z wierną dziewczyną i na powrót stać się częścią gromady. Zbójnicy często nie tylko zabierają bogaczom, ale wspierają nędzarzy i zabezpieczają byt nieszczęśliwych.

Nie odzierając swoich postaci z romantycznej aury, Łysek

pokazuje, że zbójnikiem stawał się skrzywdzony sierota, dezerter z wojska, owczarz w wieku poborowym, który ukochał wolność w górskich ustroniach i z lubością słuchał opowieści i śpiewek o zbójnikach. Nie dziwi więc pogodne zakończenie książki.



W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Paweł Łysek, Florian Śmieja, Józef Wittlin, fot. arch. F. Śmieji. Fotografia ukazała się na Culture Avenue jako ilustracja wywiadu Ewy Wielgosz z prof. Florianem Śmieją na temat Józefa Wittlina.

W trzech książkach stanowiących trylogię góralską, Łysek ustrzegł się powtórzeń, słownictwo stało się naturalne, stosowne i oczywiste, a zdolne olśnić. Wiele poezji znajdziemy w opisach góralskich sytuacji dzięki delikatności omówień, wdzięcznemu

oddaniu nawet scen drastycznych, ciągłej świeżości opisów. Nie było zresztą na śląskiej wsi wulgarności tak często szpecącej inne regiony Polski. Książka o zbójnikach gorzej mu się udała. Jakby była resztówką, materiałem zbyt skąpym, nie przetrawionym, zbyt pośpiesznie wtłoczonym w ramy książki. Zbytni w niej pośpiech i towarzyszące mu niedociągnięcia formalne.

Ostatnie siły poświęcił pracy nad przekładem książki „Przy granicy" na język angielski. Robił to wraz ze studentami. Wysiłek to był ogromny. Oszelda napisał wstęp. „Rzecz jest napisana szumnie i romantycznie, stąd tyle trudności w tłumaczeniu". Chciał mojej pomocy, ale respektował moje zajęcia, a zależało mu bardzo na pośpiechu, bo opuszczały go siły.

Nie doczekał ukazania się angielskiej wersji „Przy granicy". Zmarł na raka, z którym się zmagał przez trzy lata, w szpitalu w Huntington. Po śmierci ubrano go w czerwony góralski *bruclik*, ciało spopielono, a prochy pochowano na cmentarzu w Istebnej.

W swojej korespondencji ze mną rozpisywał się o swoich książkach i sposobie ich promocji. Wydawcy nie mogli liczyć na zyski ze sprzedaży, więc zazwyczaj zobowiązywali autorów do udziału w kosztach wydania. Ten koszt mógł się zwrócić, choćby częściowo, w miarę jak się książka sprzedawała.

Krytycy emigracyjni uważali za swój ważny obowiązek promowanie nowych wydawnictw. Publikacje Łyska przyjmowali ciepło, taktownie, jako ciekawe, nieznane, czy zgoła egzotyczne narracje pisane osobliwym językiem. Dostrzegając dobre chęci autor szukał jednak zrozumienia i pokrewnego odczucia. Znajdował je w Polsce m.in. u W. Oszeldy. Polubił także moje omówienia, gdyż wyczuł w nich sympatię dla gwary i znajomość terenu, o którym pisał. Kiedy np. Tadeusz Nowakowski poświęcił „Marynce" obszerny artykuł, Łysek ocenił go jako tekst bardziej rozgadany i efekciarski niż właściwy. W liście do mnie komentował, że krytyk ów pisze z werwą i barwnie, ale gdyby całość ścisnąć, to niewiele by z artykułu zostało. Nie mogły też – rzecz jasna – podobać mu się aluzje do skansenu i małe zrozumienie dla gwary i lokalnych obyczajów.



Koniaków, fot. pinterest.

Z listów wyziera człowiek zajęty i doceniany na uczelni pedagog. Wiemy, że ucząc swoich studentów wpajał w nich nie tylko wiedzę o Polsce, ale i respekt, a nawet miłość do niej. Przejęty swoim pisarstwem przynoszącym mu pierwsze sukcesy zabiegał o dalsze powodzenie werbując recenzentów, gromadząc cierpliwie materiały, szlifując nieustannie język. Wiedział, czego szukał, niemniej przeto chciał się upewnić. Pragnął zjednać czytelników i krytyków swojemu odrębnemu światu i osobliwemu językowi. Intensywna aktywność jeszcze wzrosła w miarę jak choroba zamiast mijać, stawała się bardziej groźna.

W liście z 3 maja 1977 roku donosząc o pertraktacjach z „Oficyną Poetów i Malarzy” w Londynie w sprawie angielskiego wydania „Przy granicy” dodał:

> Spieszę się z tym wszystkim, bo przy mojej chorobie człowiek nie wie, co nastąpi w najbliższej przyszłości.

Planował równocześnie wyjazd do Polski, a na jesieni chciał wystąpić w Toronto na wieczorze autorskim. Ciężkie operacje kazały mu jednak zaniechać ambitniejszych planów. Inny list, z 22.2.1978, był zwięzły i pisany ręką. Zaczynał się od słów:

> Łódź mego żywota dobija obcych, ale już ostatecznych brzegów.

Zawiadamiał przezornie:

> Nie wiem wiele jeszcze listów otrzymasz ode mnie. Nie licz na wiele.

W P.S. jednak dodał charakterystycznie:

> Liczę, że napiszesz też coś do prasy polonijnej lub kanadyjskiej, dobrze?

Do końca choroba zmagała się z potrzebą przekazania pamięci o rodzinnej ziemi jak najpełniej i najdoskonalej. Kiedy wreszcie zmogła go śmierć, dzieło było gotowe. Baca sprowadził swoje owieczki do bezpiecznej doliny.

Przebywanie w oku najostrzejszych przemian społecznych i kulturowych, w metropolii tętniącej nowościami czasu, Łysek paradoksalnie znalazł sprzyjającą przystań, która mu pozwoliła na spokojne kontemplowanie utraconej młodości spędzonej w górskiej oazie. Z trucizny nostalgii czerpał życiodajne soki umożliwiające mu powrót do raju na kartkach swoich książek. Zamiast zagubić się w zgiełku i bazarze wielkiego świata, stał się pilnym kustoszem i zachowawcą szczęśliwego wieku niewinności ludzi i przyrody rodzinnych stron, ukochanego Beskidu Śląskiego.

Pomiędzy emigracją a ojczyzną

Rozmowa z Piotrem Guzym, polskim pisarzem, byłym pracownikiem Radia Wolna Europa, mieszkającym obecnie w Hiszpanii.



Piotr Guzy

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Od 1979 roku mieszka Pan w

Hiszpanii. Czy czuje się Pan w tym kraju jak siebie?

Piotr Guzy: W Hiszpanii czuję się bardzo dobrze. Mieszkam na drugim piętrze budynku odległego o 100 metrów od morza. Jest winda, dla mnie, jednonogiego inwalidy wojennego, rzecz arcyważna. Ale nie mam tu żadnych prawdziwych przyjaciół. Od kiedy, 20 lat temu umarła moja żona, opiekuje się mną mój syn Juliusz. Ma on doktorat ze sztucznej inteligencji, z zamiłowania jednak jest artystą malarzem. Ma własne mieszkanie-studio, 50 metrów ode mnie.

Żona leży w niszy, w murze, na miejscowym cmentarzu, gdzie obok jest zarezerwowane miejsce dla mnie. Mam przecież 96 lat.

JSG: Pana ojciec, Juliusz był powstańcem śląskim. Proszę opowiedzieć o swoim domu rodzinnym.

PG: Ojciec, pracownik pocztowy, nigdy nie opowiadał o swoim udziale w dwóch powstaniach śląskich. Miejscowy oddział powstańców śląskich urządzał raz w roku majówkę nad Brynicą, gdzie się jechało umajonymi na zielono wozami. W domu było dużo dzieci, szkolne zadania domowe pisało się na kuchennym stole. Mieliśmy stosunkowo duży ogród, a więc też własne warzywa i owoce.

JSG: Jak to się stało, że zaczął Pan pisać?

PG: Moje pisarstwo zacząłem od napisania dwóch powieści po angielsku. Były na tyle dobre, że wziął je do znalezienia wydawcy agent literacki, polecony mi jeszcze w Poznaniu przez angielskiego pisarza. Tylko akurat w tym czasie „wybuchł" „Doktor Żiwago", więc moje powieści nie miały żadnej szansy. I wtedy przerzuciłem się na język polski, napisałem „Krótki żywot bohatera pozytywnego", który Jerzy Giedroyć z miejsca przyjął do opublikowania. Dał mi za niego nagrodę „Kultury". Po sześciu czy siedmiu latach książka miała drugie wydanie. To był jedyny taki przypadek w historii Instytutu Literackiego. „Krótki żywot bohatera pozytywnego" został przetłumaczony na język niemiecki: „Kurzer Lebenslauf eines positiven Helden", był też wiele razy recenzowany w prasie i radio. W tym roku ukazało się drugie niemieckie wydanie (Fisher Varlag), dwa darmowe egzemplarze przyszły właśnie wczoraj. W wolnej, postkomunistycznej Polsce książka nie miała ani jednego wydania mimo, że w „Dekadzie literackiej" ukazała się arcypozytywna recenzja. Szkoda, że polscy wydawcy jej nie zauważyli. Ale za to na Uniwersytecie w Rzeszowie pani Marcelina Janisz uzyskała stopień doktora za analizę mojej twórczości literackiej.

JSG: Wojna zdeterminowała Pana twórczość pisarską. Czy ten temat już się dla Pana wyczerpał, czy nadal w Panu tkwi?

PG: Temat wojenny już wyczerpałem i nie sądzę, żebym miał do niego wrócić. Ale cóż tu można tak ostatecznie powiedzieć? Może się znajdzie jakaś ciekawa fabuła. Mnie na emigracji uważano za pisarza politycznego. Ja się przeciwko temu buntowałem. W dzienniku, który zacząłem pisać (pierwszy i jedyny odcinek Giedroyć wydrukował w „Kulturze") napisałem, że moim marzeniem jest napisać powieść miłosną, w której A kocha się w B, ten zaś w C, C znowu w A. Taki miłosno- łóżkowy romans. Zacząłem kilka powieści z taką intencją, ale po kilkunastu stronach wyrzucałem wszystko do kosza. Pokusa jednak trwa.

JSG: Po wojnie w Londynie studiował pan ekonomię polityczną i filozofię. Założył Pan też rodzinę. Co Pana skłoniło do tego, żeby z żoną Angielką i synem przyjechać do Polski w trudnych latach 50-tych?

PG: Nie zaliczyłem jednego przedmiotu na końcowym egzaminie na magistra ekonomii i nauk politycznych. A w Anglii nie można było pójść do profesora, który delikwenta przepytałby u siebie w gabinecie i ocenił. Tu trzeba było zdawać wszystko od początku i to pisemnie. Uznałem to za duży wysiłek. Poza tym chciałem pisać, myślałem, że Polska to nie Sowiety i da się tam żyć.

JSG: I dało się wówczas Państwu w Polsce żyć?

PG: W czasie prawie dziesięciu lat życia w Polsce zwanej „ludową” miałem trzy spotkania z bezpieką. Pierwsze było wkrótce po przeprowadzeniu się do własnego mieszkania w Poznaniu. Żona akurat wyszła na zakupy, byłem sam, siedziałem przy maszynie do pisania, gdy odezwał się dzwonek przy drzwiach. Poszedłem zobaczyć kto przyszedł. Dwóch facetów, jeden śmignął kwadratową legitymacją. „Jesteśmy z Urzędu Bezpieczeństwa, chcieliśmy z panem porozmawiać”. I już się pchają do środka. Powstrzymałem ich, niech wytrą buty o wycieraczkę (budynek jeszcze nie był wykończony), niech siadają i powiedzą o co chodzi. A chodziło o to, że oni zatrudniali studentów ze znajomością języka angielskiego.

„Zapyta taki Anglik na przykład, co to za dziwna konstrukcja na dachu domu. A ten od razu, że to jest aparatura do zagłuszania audycji Radia Wolna Europa w Monachium. Taki szczeniak chlapnie co mu ślina na język przyniesie, natomiast pan, człowiek dorosły, życiowo doświadczony, to co innego”.

Powiedziałem, że chętnie im pomogę, ale nie teraz, jestem w trakcie pisania nowej powieści, to mi zajmie mniej więcej rok, więc jak skończę…

JSG: Bezpieka dała za wygraną?

PG: Nie, jeszcze się o mnie upominali. Drugie spotkanie odbyło

się w kawiarni na skraju Placu Wolności w Poznaniu. Nie pamiętam jak do niego doszło, nie pamiętam też o czym była mowa, wiem tylko, że w pewnej chwili po prostu wyszedłem.

Trzecie spotkanie miało miejsce w burzliwym okresie przed buntem robotników zakładów ZISPO (dawny Cegielski, gdzie się produkowało parowozy kolejowe, lokomotywy, wagony). Pracowałem wtedy w redakcji „Tygodnika Zachodniego". Zadzwonił telefon na biurku. „Przyjechaliśmy z Warszawy… itd.". Zaproponowałem, żebyśmy się spotkali w Kawiarni Bałtyckiej, prawie u wylotu mostu kolejowego, czyli na tak zwanym Kaponerze. Dla mnie tym razem sytuacja mogła być niebezpieczna, gdyż niecały tydzień wcześniej w ZISPO odbyło się otwarte zebranie partyjne, na które mogli przyjść niepartyjni pracownicy. Dwóch niepartyjnych kolegów z redakcji mnie namówiło, żeby wziąć udział w tym zebraniu. W olbrzymiej hali było około dwóch tysięcy ludzi. Przy długim stole siedziało „naczalstwo", ważni przedstawiciele wojewódzkiego komitetu partyjnego oraz przedstawiciele władz w Warszawie. Na lewo od nich było podium, na które wchodzili robotnicy i wygarniali władzom partyjnym, co ich bolało. Brak masła na rynku, brak mięsa itd. Mówili jakby nie istniała cenzura. Na sali rozległy się olbrzymie oklaski. W pewnej chwili wstałem, zrobiło się cicho, powiedziałem, że też chcę coś powiedzieć. Przeszedłem całą salę, wstąpiłem na podium i powiedziałem, że robotnicy otwarcie mówią o swoich bolączkach, o których zresztą wie całe miasto,

ale jak to będzie przedstawione w jutrzejszym wydaniu gazety partyjnej? Będzie napisane, że odbyło się otwarte zebranie partyjne, na którym omówiono aktualne problemy żywnościowe. Coś tym rodzaju. Dlaczego nie napisze się prawdy?

Gdy wracałem na swoje miejsce towarzyszyły mi oklaski i okrzyki dwóch tysięcy ludzi. I oczywiście w gazecie nic o tym nie było. Dopiero dwa dni później w zakończeniu innego artykułu napisano, że „obywatel Guzy powinien bardziej uważać w swoich wypowiedziach publicznych".

JSG: Jak zatem przebiegło trzecie spotkanie z panami z bezpieki?

PG: Przed wyjściem na to spotkanie zaszedłem do sąsiedniego pokoju, gdzie pracował mój przyjaciel Włodzimierz Odojewski. Poprosiłem, żeby przyszedł do tej kawiarni jakieś pięć minut po mnie, usiadł gdzieś z boku i obserwował. Jeśli wyjdę sam, to będzie oznaczało, że wszystko jest w porządku, ale jeśli wyjdę razem z nimi, będzie to znaczyło, że mnie aresztowali. Wtedy niech pojedzie do mnie i opowie mojej żonie Ishbel, co się stało.

Przyszedłem. Oni już czekali na mnie. Usiadłem i pytam o co panom tym razem chodzi? Tym razem najbardziej ich interesowały moje wizyty w ambasadzie amerykańskiej w Warszawie. A ja tam zwykle raz na miesiąc jeździłem, żeby w

wydziale konsularnym odebrać plik magazynów amerykańskich, potrzebnych mi w redagowaniu działu zachodniego naszego tygodnika. Raz konsul zaprosił mnie na kolację do ich prywatnego mieszkania. O tym panowie z bezpieki też wiedzieli. Powiedziałem mniej więcej tak. „Jeśli panowie mieli nadzieję, że uda wam się nakłonić mnie do współpracy, czyli zwerbować mnie jako waszego tajnego współpracownika, to się panowie pomylili. Nigdy, ale to nigdy, wybijcie to sobie panowie z głowy, nigdy!”

Wstałem i wyszedłem wsiadłem do najbliższego tramwaju, który szedł na „Łazarz” i pojechałem do domu. Powiedziałem wtedy żonie, nie ma co, wracamy do Anglii.

JSG: Oprócz spotkań z bezpieką miał Pan też, jako pisarz, naciski ze strony cenzury.

PG: W latach 50. ubiegłego wieku ciągle jeszcze istniały w Polsce liczne organizacje podziemne, które w ten czy inny sposób walczyły z władzą ludową. Taką organizacją na przykład była WIN, czyli Wolność i Niepodległość. Były ich zresztą dziesiątki. Niektóre działały spoza granicy, często organizacyjnie i finansowo wspomagane były przez Amerykanów. Wysyłano np. baloniki z literaturą antykomunistyczną w stronę Polski, były też organizowane przerzuty amerykańskimi samolotami ludzi, których zadaniem było organizowanie sabotażu w fabrykach, niszczenie maszyn itd. Bohaterem mojej powieści „Nocny

zrzut” był właśnie taki człowiek zrzucony z amerykańskiego samolotu, który miał przeprowadzić akcję przeciwko władzy ludowej. Powieściowy bohater zaczyna się zastanawiać czy dobrze postępuje, ale zanim do czegoś dojdzie, dostaje się w ręce bezpieki. Zdawałem sobie sprawę z tego, że temat książki jest trefny, ale tyle tam było wątków sensacyjnych, że dało się z tego skleić dobrą „dreszczową” powieść. Pisząc starałem się zachować dystans, żeby mnie nie oskarżono o propagowanie komunizmu.

W tym czasie w Poznaniu rozpoczęły się procesy robotników oskarżonych o czynną działalność przeciwko oddziałom wojskowym, które zalały miasto po uśmierzeniu czerwcowego buntu. W tej atmosferze miały się zadecydować losy mojej książki, którą wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej przyjęło do druku po poczynieniu w niej pewnych korekt.

Do Poznania przyjechał Kazimierz Koźniewski i w hotelu Bazar przez dwa dni robił korektę polityczną książki, linia po linii, słowo po słowie. Gdy oponowałem, mówił: „My Hamletów nie potrzebujemy, u nas albo jest się z nami, albo przeciwko nam”. Cóż miałem robić. Trzeba też pamiętać, że Polska przeżywała wtedy okres najgorszego stalinowskiego terroru, ludzie żyli w strachu, że Sejm uchwali przyłączenie Polski do Rosji sowieckiej i lada dzień rozpoczną się wywózki. W tej atmosferze moja

książka została ideologicznie naprawiona i wydana. Nigdy się nią nie chwaliłem.

JSG: Po powrocie do Anglii pracował Pan w radio BBC. Na czym polegała Pana praca?

PG: W BBC pracowałem w monitoringu radiowym w Caversham obok Reading. Trzeba było zdać egzamin w Birmingham. W osobnym pokoju dawali arkusz papieru i ołówek, puszczali płytę z nagraniem „BBC NEWS", trzeba było go wysłuchać, a potem trzeba zapisać to, co się zapamiętało. Zdałem egzamin bardzo dobrze. Po dwóch tygodniach dostałem *engagement*.

Pracowało się ze słuchawkami na uszach. Słuchało się dzienników polskiego radia oraz wybranych audycji. Ważne wiadomości trzeba było nagrać na *recorder*, a arcyważne tłumaczyć na angielski i zapisać na maszynie do pisania. W długich tekstach brało się stenotypistki do pomocy. Praca była stereotypowa, chyba że była jakaś wyjątkowa sytuacja. Pamiętam okres kryzysu kubańskiego, kiedy Ameryka postawiła ultimatum Sowietom, gdy ci instalowali swoje pociski balistyczne na Kubie. Ustalono godzinę, o której Rosjanie mieli dać odpowiedź. W całym tzw. *listening room* nastała kompletna cisza, a gdy minęła wyznaczona godzina i Amerykanie nie zbombardowali statków sowieckich, kolektywnie odetchnęliśmy z ulgą. Nigdy tej chwili ni zapomnę.

JSG: A jak wspomina Pan pracę w Radio Wolna Europa w Monachium?

PG: W rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa pracowałem przygotowując polskie dzienniki radiowe. Lubiłem tę pracę. Mieliśmy dwie maszynistki, choć rzadko z nich korzystałem. Pracę rozpoczynało się o różnych godzinach. Ostatni dziennik leciał o jedenastej w nocy. Szło się potem przez Ogród Angielski i przez puste miasto. Podobnie było, kiedy przygotowywało się pierwszy poranny dziennik, który, jeśli dobrze pamiętam, szedł o piątej rano.

Praca była interesująca. Nie miałem żadnych zatargów z dyrektorem panem Janem Nowakiem-Jeziorańskim. Szanował mnie mimo tego, że mu wygarnąłem całą prawdę o Henryku Rozpendowskim, który jeszcze w Poznaniu groził mi, że mnie może zlikwidować. Był kapitanem w organizacji, którą potem uznano za zbrodniczą. Kiedy Nowak miał imienny, to przed jego gabinetem ustawiała się 15-to metrowa kolejka, każdy przychodził z jakimś kosztownym podarunkiem. Znany był przypadek, że Nowak odmówił przyjęcia zbyt drogiego prezentu. Byli też ludzie, którzy już od rana czekali, aż Nowak będzie szedł do swojego gabinetu, żeby móc mu się ukłonić. Mnie takie zachowanie raziło.

Lubiłem Monachium, mieszkaliśmy na tzw. Szwabingu, do radia

można było iść piechotą. Niedaleko były Alpy, często więc wyjeżdżaliśmy w góry na cały dzień.

JSG: Czy Radio to było w tym czasie kawałkiem wolnej Polski, poza jej granicami?

PG: Nie sądzę, żeby Radio Wolna Europa w Monachium stanowiło część wolnej Polski. Oprócz tych pracowników, którzy grali w brydża, reszta chodziła „luzem". Ja w każdym razie do żadnej „ferajny" nie należałem, a w domu mówiłem po angielsku.

JSG: W czerwcu 2017 roku w Pana rodzinnych Tarnowskich Górach miało miejsce uroczyste spotkanie z Panem, z udziałem władz miasta. Jakie znaczenie miał dla Pana powrót do korzeni, po latach życia poza krajem, z dorobkiem pisarskim osadzonym w problemach ojczyzny i jej trudnej historii?

PG: W Tarnowskich Górach byłem już wcześniej dwa razy. Teraz miałem wieczór autorski, bylem gościem mojego dawnego gimnazjum, poznałem kilka ważnych osób. W mieście kwitnie życie literacko-artystyczne, ale nie umiałbym tam znowu żyć. Lubię prywatność, samotność.

Tegoroczny przyjazd miał jednak dla mnie dodatkowe znaczenie. Pojechaliśmy do wsi, w której się urodziłem, Zawadzkie. Dom

mojego dziadka i jednej z moich ciotek znajdował się po drugiej stronie rzeki Mała Panew (przed wojną „Małapana”). Dojazd był tam trudny, ale jak głośno o tym rozmawialiśmy, podeszła do nas pewna pani i zaproponowała: „Panowie sami zbłądzą, ja panów zaprowadzę”. Dzięki tej kobiecie znowu zobaczyłem dom, który pamiętałem z dzieciństwa i wymieniłem kilka słów z mieszkającymi tam ludźmi. Kiedy wróciliśmy i żegnaliśmy się przy samochodzie, podziękowałem tej pani i poprosiłem ją o podanie nazwiska. Padło nazwisko mojego wuja, którego żona była siostrą mojej matki. Okazało się, że jesteśmy spowinowaceni, a mój wuj był jej pradziadkiem. Ta kobieta ma dwie córki, jedna ma doktorat z nauk społecznych, pracuje i mieszka we Wrocławiu, druga, młodsza, jest magistrem germanistyki, pracuje w Zawadzkiem i mieszka z matką. Niezmiernie mnie to spotkanie uszczęśliwiło i miało dla mnie duże znaczenie. Byłem pewny, że nasza mocno rozgałęziona rodzina już wymarła, a okazało się, że nie. Może dożyję przyszłego roku, żeby tam jeszcze pojechać i się z nimi spotkać.



Piotr Guzy *urodził się 15 maja 1922 r. w Zawadzkiem (Śląsk Opolski), zmarł 24 lutego 2018 r. w Walencji (Hiszpania). Uczęszczał do gimnazjum i liceum w Tarnowskich Górach. Brał udział w kampanii wrześniowej i był internowany w Rumunii. Stamtąd uciekł do Francji i wstąpił w szeregi wojska polskiego – służył w dywizji gen. Maczka. Po zakończeniu wojny studiował ekonomię polityczną i filozofię na Uniwersytecie w Londynie. W Anglii też założył rodzinę, ale wraz żoną i synem wrócił do kraju w 1949 r. Ukończył ekonomię na Uniwersytecie Poznańskim. W latach 1956-57 pracował w „Tygodniku Zachodnim". W 1957 r. jednak wyjechał z powrotem do Anglii (powodem były prześladowania przez służbę bezpieczeństwa.*

Pracował dla BBC oraz Radia Wolna Europa. Od 1979 r. mieszka w Hiszpanii. Należy do Związku Literatów Polskich.

Powieści Piotra Guzego:

- *Następny odchodzi 22.25* (Warszawa 1955).
- *Nocny zrzut* (Warszawa 1955).
- *Cienie na gwiazdach* (Warszawa 1956).
- *Wenus z brązu* (Warszawa 1956).
- *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (Paryż 1966, nagroda paryskiej „Kultury", wydanie niemieckie 1968).
- *Stan wyjątkowy* (Paryż 1968, nagroda londyńskich „Wiadomości").
- *Requiem dla pani Tosi* (Londyn 1990).
- *Zwidy na wysokościach* (Poznań 1994).

Piotr Guzy na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/z-zawadzkiego-pod-walencje/

http://www.cultureave.com/polubilem-te-moja-samotnosc--piotr-guzy-1922/

http://www.cultureave.com/juz-nie-skrzypi-moja-szafa/

http://www.cultureave.com/zakamarki-pamieci-wspomnienie--

o-marku-hlasce/

http://www.cultureave.com/uraza/

http://www.cultureave.com/upiorne-echa-przeszlosci-stan--wyjatkowy-piotra-guzego/

http://www.cultureave.com/literackie-swiaty-piotra-guzego/